

PIEPRZOJADY Z CZUBEM KĘDZIERZAWYM (*Pteroglossus ulocomus gould.*)

Niniejszy artykuł i rycina są dopełnieniem do karty 209 Nru 27 naszego Magazynu.

Dwa exemplarze z pięknego gatunku, o którym teraz mówić chcemy, przywieziono z Rio Janeiro do Londynu. Jeden z nich należy do Muzeum Towarzystwa Zoologicznego, drugi do Muzeum Bretańskiego.

Mają one dziób bardzo długi, brzegi szczęk opatrzone małemi białemi ząbkami. Górna szczęka u wierzchu jest koloru pomarańczo-

wego, otoczona paskiem wązkim i długim, błękitnym ciągnącym się niekiedy aż do końca dzioba. Poniżéj tego paska, szczęki po obu stronach są pięknego czerwonawo-pomarańczowego koloru, a biała linia otacza otwory nozdrzy. Szczęka dolna jest koloru słomiannego, przechodzącego ku końcowi dzioba w pomarańczowy; wązki pas kasztanowaty otacza osadę dwóch szczęk. Na ciemieniu, czyli na szczycie głowy, wznosi się jak heban ciemno-czarny, świetnie metalicznie połyskujący czub, który tworzą w kędziorki pozwijane pióra bez chorągiewek, albo raczéj jak wióra cienkie szypułki. W miarę posuwania się ku tyłowi głowy owe wiórkowate listewki widzimy coraz bardziéj wyprostowane, i tak porozszerzane, że przybierają kształt łopatek lub kopystek. Trudno opisać blask i bogactwo tego czuba; a jeszcze trudniéj odgadnąć czy kształt części składających ów czub pochodzi z rozszerzania się szypułki każdego pióra, czy przeciwnie ze zlepiania się pomiędzy sobą włosków chorągiewkowych. Po obu bokach głowy i około ócz, pióra podobne są do piór wierzchołkowych, tylko że mają kształt kopystek bardziéj spłaszczonych i są koloru blado-żółtego przechodzącego ku brzegowi w biały. Tył głowy i część wierzchnia ogona są czysto krwawo-czerwonego koloru, pierś blado-żółtego poprzecinana liniami poprzecznemi różowemi, grzbiet, ogon i uda są oliwkowo-zielone, a golenia i palce ołowiaste.

Pieprzojady mają nadzwyczajnie lubić owoc pieprzu hiszpańskiego i ztąd ich nazwisko pochodzi. Wielkość *Pieprzojadów z czubem kędzierzawym*, wystawionych na naszéj rycinie jest następująca:

Długość całego ciała cali siedmnaście, długość dzióba cali trzy, linij dziewięć; skrzydeł cali pięć; linij pięć, ogona cali siedm, nóg cali dwa, linia jedna.

POWODY ŚMIECHU.

Prostota, niewiadomość i zarozumiałość, równie cieszą się darem śmiechu, jak bystrość pojęcia i dowcip. Hollender Van der Steel śmiał się z podziwu Kafrów (ludu dzikiego w Afryce południowéj) gdy na żądanie, aby im cud pokazał, wypił kieliszek zapalonego rumu; majtkowie zaś, śmiali się z murzynów, którzy widząc szumiącą flaszę piwa, nie mogli się wydziwić, jakim sposobem tak żywa istota do niéj wtłoczyć się dała; naśmiali się również z ich prostoty, gdy głosu dudków w samych dudkach szukając, tenże instrument rozerznęli; kto przy nich zdjął rękawiczki, myśleli że ma ręce podwójne; okręty brali za wielkie ryby, ptaki morskie, a nawet za duchy; zegar morski zdawał się im być istotą żywą. Wielu dzikich mniemali, że w wodzie wrzącéj jest zwierzątko, które parska i syczy; niektórzy kładli ręce do waru, a oparzeni skakali pośród śmiejących się białych, utrzymując że ich zwierzątko ugryzło. Eskimowie mniemali, że żagle kapitana Ross są wielkiemi ptakami, a każde długie milczące podziwienie, zakończali gwałtownym śmiechem. Ciekawości tych dzieci natury, nie można zaspokoić tłumaczeniem rzeczy, bo ich pojąć nie mogą, natomiast na każdéj odpowiedzi przestają, jak mały ów chłopczyk, któremu matka bułkę zbyt małą, piekarzowi odnieść kazała, a ten odprawił go z odpowiedzią, że bułka ma dopiéro dwie godzin, zatém być większą nie może.

Dziki gdy się pierwszy raz ujrzy w źwierciedle cofa się przestraszony, szuka swéj postaci za szkłem, jak to czynią zwierzęta, a potém się śmieje. Podobnie lud prosty śmieje się zwykle oglądając obrazy, machiny i t. p. rzeczy, których nie pojmuje.

Nawzajem dzicy w Nowéj Hollandyi wyśmiaćby mogli majtków angielskich, którzy wielkie ich nietoperze mieli za żywe djabły. Oświecony śmieje się z dzikiego który za goździe, piłki, nożyczki, świderki i podobne użyteczne fraszki, hojnie złotem opłaca; ten wzajem, ma słuszny powód wyśmiania Europejczyka, że za bryłę nieużyteczną, rzeczy tak potrzebne oddaje; obadwa sądzą że się podeszli, lubo tego nie uczynili.

TYGRYS.

(OKROPNY WYPADEK.)

Tygrys, zwierz straszny, mogący walczyć ze lwem i słoniem, ma pospolicie 5 do 6 stóp długości. Włos na skórze żółty, przedzielony czarnemi pręgami w poprzek, które wychodząc od grzbietu pod brzuchem się gubią. Ogon okryty obrączkami białemi na przemian i czarnemi, z których ostatnia zawsze jest czarna.

Zwierz ten nie wiele z obyczajów jest znany, bo mało kto widział go w stanie natury, a to z powodu rzadkości, gdyż jedynie Indye Wschodnie są jego ojczyzną. Mówią, iż także znajduje się w Cochinchinie i w królestwie Siamskiém.

Tygrys ma siłę zadziwiającą; widziano iż większe i cięższe od siebie zwierzęta z łatwością unosił. Gdy się ryk jego okropny w lesie rozlega, zwierzęta drżą i uciekają, ptaki pierzchają, a lwy nawet trzęsą swą grzywą. Paszcza jego uzbrojona jest ogromnemi i kolczastemi zębami, u nóg ma szpony straszliwe, których jednem draśnięciem, wnętrzności z wołu wydobyć może; oczy jego wściekłe, mają razem szczególny wyraz chytrości i grozy. We wszystkich zwyczajach podobny jest do naszych kotów domowych: ostrożnie czai się dla pochwycenia łupu; raczéj napada cichaczem, niżeli naciera i skrycie plezie się na brzuchu między chwastami. Zbliżywszy się do pewnéj odległości, czyni skok zadziwiający i napada zwierze nigdy nie chybiając. Czuwa osobliwie nad wo-

dami, gdzie zwierzęta dla napoju udawać się muszą.

Jak lew nie zasłużył na powszechnie przyznawane mu zalety szlachetności (*), tak tygrys za nadto osławiony jest jako zwierze najokrutniejsze. Buffon puszczając jak zwykle, wodze imaginacyi, mówi: «Tygrys jest jedyném zwierzęciem, którego natury ugiąć nie można; ani siła, ani gwałt, ani wytrwałość nie zdołają go pokonać. Gniewa go zarówno złe, jak dobre obchodzenie, łagodne środki nic nie dokażą nad tém sercem z żelaza; czas nie łagodzi, ale owszem rozjątrza jego wściekłość; rozedrze zarówno rękę, która go uderza i tę która go żywi, wścieka się na widok wszystkiego, co żyje, każdy przedmiot zdaje mu się nowym łupem który zawczasu chciwém okiem pożera, zawsze przeraża je rykiem i straszliwém zgrzytaniem; rzuca się na nię nawet przez łańcuchy i kraty, które wściekłość jego tamują, ale jéj nie uspokoją."

Zaiste trudno tyle błędów piękniejszemi słowami wyrazić.

Ten ideał srogości, owa namiętność do krwi, mogą być bardzo pięknym obrazem, ale nie tygrysa. To zwierze nie jest krwawsze i chytrzejsze jak lew. Oba są najsilniejsze, nie wstrzymane w głodzie, zuchwałe w wściekłości, ale oba pod władzą człowieka tracą swą dzikość, gdy są dobrze żywione, i widziano tygrysy, równie jak lwy, przywiązane do swoich stróżów, poznające ich i dające się głaskać, a nawet same z łagodnym wyrazem łaszą się do tychże.

Strasznym jest przez swoję siłę i zwinność, gwałtownym przez głód. W Indyach Wschodnich polują na niego, jedynie dla chwały pokonania i dla pięknéj skóry. Podróżni wiele opowiadają wydarzeń z tygrysami. Jedno z tych tak jest ważne i zajmujące, iż tu wyrazy samego aktora téj sceny okropnéj w zupełności umieścimy.

«Widok, jaki miałem przed oczyma, mówi tenże, obawiać mi się kazał, abyśmy nie byli zmuszeni kilka dni w téj jaskini przepędzić, atoli, gdy burza nieco zwolniała, przewodnicy nasi wyszli zobaczyć, czy możemy w dalszą drogę się puścić. Jaskinia, gdzieśmy się schronili tak była ciemną, że oddaliwszy się nieco od wejścia, palca przed okiem widać nie było.

Gdyśmy właśnie o przykrém położeniu naszém mówili, uderzył nas odgłos żałosny wychodzący z pustyni. Warthon i ja słuchaliśmy z przerażeniem, ale Lincoln, nasz młody i płochy towarzysz, położył się na ziemi i z Frankiem moim strzelcem płózł się na brzuchu po grocie, ażeby poznać tego głosu przyczynę. Ledwo się nieco oddalili, usłyszeliśmy okrzyk ich zadziwienia i wnet wrócili, każdy mając pod pachą zwierzątko szczególniéj cętkowane, podobne do dużego kota mające szczęki z dużemi, już kolczastemi zębami. Oczy ich były zielonawe, z łap sterczały szpony, i język wywieszony. Ledwo je Warthon zobaczył, krzyknął z przestrachu: Jesteśmy w jaskini tygrysa. W tém właśnie nadbiegli nasi przewodnicy wołając: tygrys! tygrys! i natychmiast z szybkością niepojętą, wspięli się na cedr blizko jaskini i ukryli w jego gałęziach.

« Zrazu straciłem na chwilę przytomność, ale wnet chwyciłem za broń. Warthon ocucił się także z przestrachu i wołał, aby mu pomódz zatoczyć ogromny kamień przed otwór jaskini, który blizko niéj leżał, trwoga, dodała siły, bo już nas ryk tygrysa dochodził, a zguba nasza byłaby niechybną, gdybyśmy nie zdążyli wejścia zasłonić. Jeszcześmy się mocowali, gdy już ujrzeliśmy zwierza wściekle ku nam pędzącego. Podwoiliśmy siły i cudownym prawie sposobem kamień bezpiecznie nas zasłonił. Atoli u góry, jeszcze nad kamieniem mały otwór pozostał, przez który mogliśmy widzieć łeb tygrysa który wściekłemi iskrzał oczyma. Ryk jego wstrzęsał jaskinię, a młode odpowiadały mu skomleniem. Straszny nasz nieprzyjaciel chciał najprzód szponami, potém głową odwalić kamień; niepodobieństwo, jeszcze wściekłość jego zwiększało; wydał ryk jeszcze przeraźliwszy, niż dotąd, a iskrzące jego oczy zdawały się rzucać blask w ciemną jaskinię. Przez chwilę, prawie mi go żal było, gdyż gniew jego z ojcowskiego uczucia pochodził.

« Czas wystrzelić, zawołał Warthon z zimną krwią, która go nigdy nie opuszczała, celuj do oczu, kula przeszyje mu głowę! »

Frank wziął dubeltówkę i Lincoln pistolety. Pierwszy wymierzył lufę o kilka calów do tygrysa, toż samo i drugi. Na komendę Warthona, oba razem kurki spuścili, ale proch się nie zajął. Tygrys jakby poznał zaczepkę, rzucił się na bok, ale wnet z podwójną wściekłością na dawne miejsce powrócił. Proch był zamoczony, i gdy go z panewek wysypywano, my z Warthonem szukaliśmy puszki z prochem, czołgając się w ciemności po ziemi.

Gdy w tém natrafiłem ręką na tygrysięta, usłyszałem łoskot do metalu podobny, i wnet poznałem że zwierzątka bawiły się z naszą puszką od prochu. Nieszczęściem, otwarły ją szponami, a proch wysypany na ziemię wilgotną, nie mógł nam być przydatny. To odkrycie odebrało nam ducha.

« Zginęliśmy! zawołał Warthon; pozostaje nam tylko wybór, albo zamkniętym ze zwierzątkami z głodu umierać, albo probować szczęścia z tygrysem."

To mówiąc zbliżył się do kamienia, i śmiało wpatrywał się w iskrzące oczy potwory. Młody Lincoln, klnąć zaczął w rospaczy. Frank cokolwiek zimniejszy, dobył sznurka z kieszeni i poszedł wgłąb' jaskini, nie mówiąc, w jakim zamiarze. Wnet posłyszeliśmy pisk przytłumiony i tygrys, który go także słyszał, jeszcze stał się niecierpliwszym, w wściekłém obłą-

(*) Zobacz 17 Numer *Magazynu Powszechnego.*

kaniu odbiegał i wracał ku jaskini; nagle wstrzymał się, a zwracając głowę do lasu, przeraźliwie zaryczał. Nasi indyjscy przewodnicy na drzewie, korzystając ze sposobności, rzucili nań kilka strzał, które bez skutku splozły się po włosie zwierza. Nakoniec jedna strzała utkwiła mu we łbie blizko oka, wtedy wściekłość jego doszła do najwyższego stopnia; rzucił się na drzewo które ściskając szponami widocznie usiłował obalić. Ale pozbywszy się sterczącéj strzały, uspokoił się nieco, i znowu stanął przed wejściem do jaskini.

Frank powrócił i nagle ujrzałem jego zamysł. U każdéj ręki wisiał mu na sznurku młody zaduszony tygrys; nim się spostrzegłem, rzucił je oba przez otwór. Tygrys natychmiast w uciszeniu, zaczął je wąchać i bardzo ostrożnie z obu stron przekładać. Skoro się o ich śmierci przekonał, wydał ryk tak przeraźliwy, żeśmy wszyscy uszy zatkali. Wyrzucając mojemu strzelcowi tę próżną srogość, przekonałem się z zuchwałéj jego odpowiedzi, iż stracił wszelką nadzieję ratunku, a zatém nie uważał już żadnych stosunków między panem i sługą. Co do mnie, miałem zawsze przeczucie, jakiegoś niespodzianego ratunku.

Przez tenczas grzmoty ustały, a po burzy cichy wietrzyk powiewać zaczął. Ptaki zaczęły śpiewać, a krople rosy błyszczały po liściach. Widziałem przez otwór to miłe uspokojenie natury, które z okropném naszém położeniem tém więcéj było w sporności. Żywcem byliśmy w grobie bez żadnéj nadziei, bo potwór straszniejszy od Cerbera, strzegł jego wejścia i położył się przy swoich dzieciach. Był to tygrys pyszny i wielki; cały rozciągnięty okazywał straszną siłę swoich muszkułów; ze szczęki najerzonéj zębami, piana dużemi płatami wylatywała. W tém usłyszeliśmy z dala ryk przeciągły, tygrys odpowiedział żałośném jęczeniem, a Indyanie na drzewie, wydali krzyk zwiastujący nowe niebezpieczeństwo. W parę minut ujrzeliśmy drugiego tygrysa wściekle ku nam pędzącego. Ten będzie jeszcze straszniejszy, zawołał Warthon, gdyż to jest tygrzyca, jéj zemsta za dzieci nie ma granic.

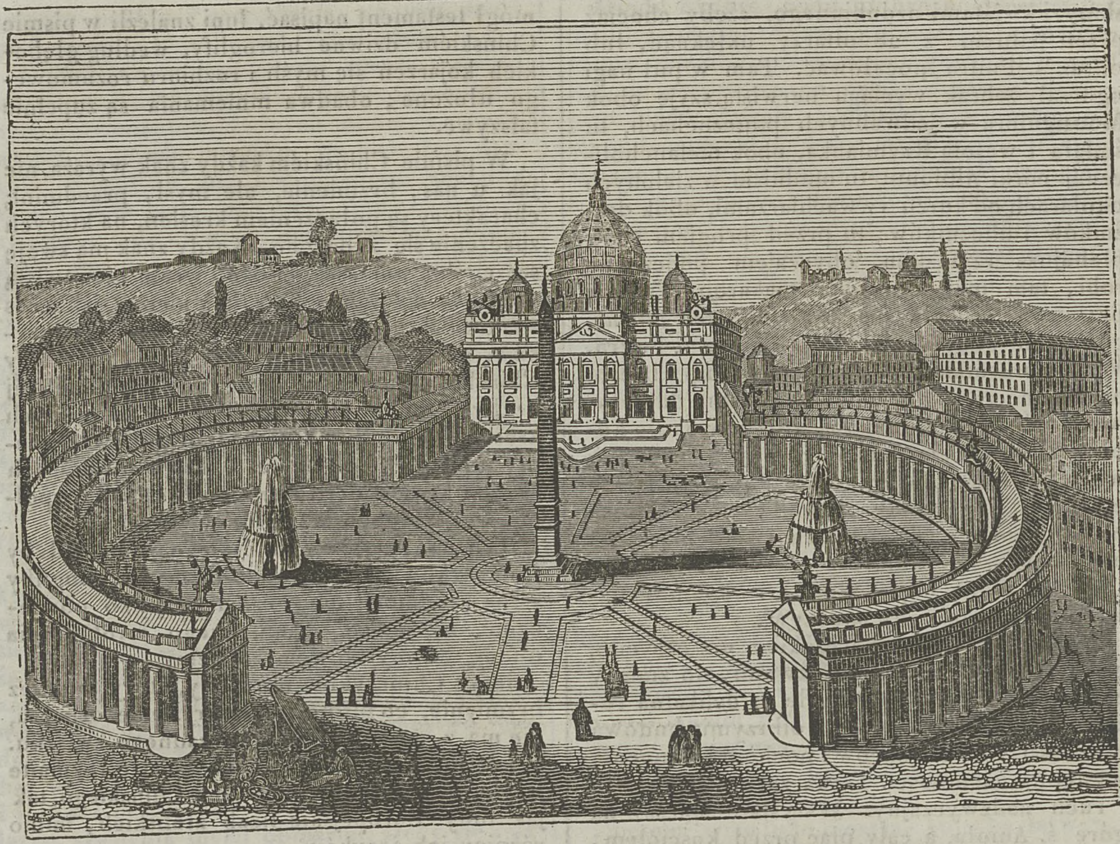
« Ryk tygrzycy, gdy obwąchała dzieci nieżywe, przechodził wszystkie, jakieśmy dotąd słyszeli, tygrys wydał także jęk żałośny: Nagle to wycie ustało, słychać było tylko wark utłumiony, i wnet tygrzyca pysk parą ziejący wsunęła w otwór, patrząc na wszystkie strony. Siłą nadzwykłą byłaby może odsunęła kamień, gdybyśmy go mocno nie podpierali. Widząc próżne usiłowanie, wróciła do samca i zdawała się przez czas niejaki naradzać; potém oboje śpieszno pędząc, zniknęli nam z oczu.

« Zaraz potém przewodnicy nasi, zeszli z drzewa, nagląc nas do ucieczki, i mówili, że tygrysy wejdą do jaskini innym, dobrze im znanym otworem. Spiesznie zaczęliśmy odsuwać kamień, i wyszliśmy z naszego grobu. Warthon wyszedł ostatni, bo szukał swojéj dubeltówki; my zostawiliśmy wszystko, aby tylko pośpieszyć. Słyszeliśmy na nowo ryczenie tygrysów lubo zdaleka, a idąc za przewodnikami, puściliśmy się ścieżką poboczną. Mnóstwo korzeni i gałęzi przez burzę odłamanych, czyniły nam drogę bardzo powolną i trudną.

W kilkanaście minut, krzyk Indyanina przenikający oznajmił nam, że tygrysy ścigają za nami. Byliśmy wtedy przed mostem trzcinowym rzuconym przez rzekę. Indyanie tylko ośmielają się przechodzić przez takie mosty, które za każdém stąpieniem wstrząsają się i kołyszą. Strumień płynął z impetem w głębi pomiędzy dwoma rzędami skał ostro najeżonych. Lincoln, Frank i ja przeszliśmy przez most szczęśliwie, ale Warthon jeszcze był na środku usiłujący równowagę utrzymać, kiedy tygrysy z blizkiego lasu wypadły; skoro nas tylko postrzegły, rzuciły się z rykiem przerażającym. Warthon jednak przebył most, a ja, Frank i Lincoln i dwaj przewodnicy, pięliśmy się na skałę przed nami będącą.

« Warthon, chociaż się ku niemu tygrysy bardzo zbliżyły, nie stracił serca i przytomności. Skoro tylko na drugi brzeg stanął, dobył noża myśliwskiego i odciął węzły któremi most był przyczepiony; mniemał iż tym sposobem przetnie drogę tygrysom; ale zaledwo to wykonał, gdy tygrzyca stanęła na brzegu, sposobiąc się jednym rzutem strumień przeskoczyć. Ta scena odbyła się szybko jak połysk; wspaniały był widok tak strasznego zwierza wiszącego w powietrzu. Siła jego nie wyrównywała jednak przestrzeni; zaczém się w głębi wody zatopił, w setne części o ostrza skał był poszarpany. Ten wypadek nie zastraszył jego towarzysza. Jednym rzutem przeskoczył strumień, ale na brzeg wysoki nie dostał się, tylko uczepiony przedniemi szponami. Tym sposobem nad przepaścią wisząc, chciał się koniecznie uwolnić, Indyanie znowu wydali krzyk trwożący; jakby wszelka nadzieja zginęła. Ale Warthon bardzo blizko tygrysa będący, zbliżył się ku niemu odważnie i nóż myśliwski w piersi mu wraził. Zwierz wściekły nad wszelki opis, zebrawszy wszystkie siły, utkwił tylne szpony na skale, a przedniemi pochwycił Warthona za nogę, ale Warthon nieustraszony, uchwycił się lewą ręką blizkiego drzewa aby się oparł, i powtórnie nóż tygrysowi w pierś wraził.

Wszystko to, w jednéj chwili się stało, Frank i ja pośpieszyliśmy mu na pomoc, Lincoln, pochwyciwszy blizką fuzyą Warthona, tak dobrze w głowę tygrysa ugodził, iż się od nogi odczepił i w przepaść wleciał. Ale ten nieszczęśliwy młodzieniec posunął się za daleko, poślizgnął się, a nie mając żadnego oparcia pod ręką, wpadł w strumień; ratował się czas niejaki na powierzchni, i w krótce na zawsze zniknął. »



PLAC KOŚCIOŁA Ś. PIOTRA W RZYMIE.

W Numerze 24 *Magazynu Powszechnego*, mówiliśmy o zewnętrznéj i wewnętrznéj piękności kościoła ś. Piotra, który ogromem, okazałością i sztuką wszystkie kościoły świata Chrześciańskiego przewyższa. Plac tego kościoła odpowiedni jest miejscu, jakie zapowiada, i nawet powiedziećby można, że wspaniałość onego zmniejsza wrażenie jakie bez niego czyniłby ten najokazalszy Bogu poświęcony przybytek.

Każdy zwiedzający to miejsce powiedzieć może: « otóż widziałem wszystko, co praca i sztuka człowieka uczynić może, lub przynajmniéj, co dotąd z największym nakładem czasu i materyałów uczynić mogła.» Trzydziestu papieżów oddawali artystom swe skarby pomnażane ofiarami królów i ludów, drogie marmury i kruszce zewsząd zwożone były, wielcy mistrze i ich uczniowie trawili całe życie na ciosaniu kamieni i laniu kruszców, aby ten wieczny pomnik pobożności i sztuki wystawić.

Pobożni Chrześcianie przejmują się tutaj wspomnieniem ubóstwa pierwotnego kościoła i świętych apostołów Chrześciaństwa, które teraz w takiéj czci i okazałości widzą przed sobą. Inni pragną, ażeby to miejsce czyniło raczéj wrażenie posępne i uroczyste, jak wszystkie gotyckie kościoły na pułnocy. Inni widzą w niém potęgę i wspaniałość zewnętrzną kościoła Rzymskiego w wieku XVItym.

Plac ten obudza w dumającym tysiące wspomnień historycznych od założenia, aż do upadku Rzymu dawnego; od zawiązków Chrześciaństwa, aż dotąd. Ale szczególniejsze czyni on wrażenie, gdy w dzień uroczystości ś. Piotra, kopuła świątyni oświecona w powietrzu się wznosi. Jeden z podróżnych tak mówi o téj uroczystości.

«Równo ze świtem huk dział z góry St. Angelo, zapowiada uroczystość ś. Piotra. Sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców Rzymu, cudzoziemcy ze wszystkich prawie krajów, lud wiejski z odległych gór, i całe prawie Latium z największą niecierpliwością oczekują godziny oświecenia kościoła ś. Piotra, około którego już o godzinie 22, (według włoskich zegarów) wszystko się zgromadza. Obszerny plac przed fasadą Bazyliki, zapełnia się ludźmi wszelkich narodów i stanów. Roznoszący limoniadę, kasztany i makaron, wysilają się na krzyki najrozmaitsze. Swawolne chłopcy wspinają się na wysoki obelisk, nad szumiącemi wodotryski, podczas gdy inni z wrzaskiem przeraźliwym, przechodzącym stołki (*una sedia*) ofiarują. Tłumy wieśniaków z Kampanii z szpiczastymi kapeluszami olbrzymiéj budowy ciała, wspaniałe kobiety z Albanii, Genzano i Frascati, w różobarwych, a jednak bardzo prostych ubiorach i pielgrzymi, przeciskają się do kościoła ś. Piotra, złotem, purpurowemi za-

słony i kwiatami ozdobionego, ażeby chociaż przed jednym z 28 ołtarzy uklęknąć, lub obraz ś. Piotra pocałować. Tam w puł nagi ogorzały żebrak wyciąga nerwistą szyję obok Monsigniora w jedwabnych pończochach, tu śmiała i wesoła Rzymianka, obok melancholicznéj córki Albionu; tu modnisie w zielonych okularach od kurzu i z wachlarzami, obok drążników i uliczników; tu przed progiem stary plebejusz rzymskim obyczajem pończochę robi, tam majtek połyka makaron. Tak się przesuwa ta cała massa aż do *Ave Maria*, gdy nagle odzywa się wielki dzwon ś. Piotra. W nader krótkim czasie, tysiące lamp i latarni oświecone zostają jak gdyby rękoma duchów, przez kilkaset robotników, którzy w około kopuły aż do krzyża, znaku oczekując, na linach wiszą. Wtedy otwiera się widok prawdziwie czarujący i wzniosły. Kopuła unosząca się pod niebem, goreje różowém światłem, wśród najrozmaitszych kolorów, kiedy Rzym cały z wszelką swoją wspaniałością i wspomnieniami pomroką odziany spoczywa.

Jeszcze się oko tym widokiem nie nasyciło, gdy powtórne uderzenie dzwonu, do zmiany oświecenia znak daje. Nagle ta delikatna różowa jasność znika, a cała olbrzymia budowa w blasku 2000 kagańców i pochodni, z nocnéj występuje ciemności. Teraz zaczyna się zgiełk i ruch nadzwyczajny. Wszystko śpieszy na górę ś. Anioła, a cały plac przed kościołem, okazuje się próżny i jasny. Słychać działa z twierdzy ś. Anioła, i zaczyna się Girandola. Tysiące rac z iskrzącemi ogony krzyżują się w powietrzu; piramidy i słupy z ognia różowego nagle powstają i nikną. Tysiące słońc i gwiazd oświecają to miejsce melancholiczne, aż wszystko zamienia się w jeden wulkan, z którego paszczy grzmoty i słupy ogniste buchają, aż się nakoniec ognista Lawa rozlewa. »

ALFABET CHIŃSKI.

Dziwne rzeczy głoszą o ludu Chińskim, który prawie tak jest ludny jak cała Europa, a zbyt mało nam znany. Chiny mają historyczne podania od lat 4000; mają pod każdym względem osobny język i pismo, a w obyczajach, ustawach i sposobie myślenia, zupełnie od nas się różnią. Mają niezmierną literaturę, jedyne źródła do dawnéj historyi Azyi wyższéj i do wielu dotąd nie wyjaśnionych dawniejszych wypadków.

Nie mają przeto ceny usiłowania p. Remusat które znajomość tego ludu tyle rozświeciły.

Zobaczmy najprzód ciekawe jego uwagi, o języku i pismie Chińskiém.

Chińczycy nie mają żadnego alfabetu. O ich pismie i języku, które są nieoddzielne od siebie, szczególne uprzedzenia panują. Wielu mniema, iż Chińczyk całe życie poświęcić musi, chcąc się czytać i pisać nauczyć, a ta praca, na to tylko jest mu przydatną, ażeby mógł testament napisać. Inni znaleźli w pismie Chińskiém dziwne hieroglify, według głębokich kojarzeń się myśli i rozbioru rozumowego ułożone; obadwa mniemania są zupełnie fałszywe.

W pismie Chińskiém każdy znak wyraża, nie jak u nas, brzmienie, ale myśl, przedmiot; charaktery są połączeniem kreśleń, na których znaczenie się zgodzono. Każdy znak ma swoję szczególną wartość dla oka, wcale nie zawisłą od słowa wymówionego, tak niemal, jak u nas znaki liczbowe, które mimo rozmaitości języków, są w całéj Europie jednakie. Charaktery Chińskie składają się z większéj lub mniéjszéj liczby, mniéj lub więcéj skomplikowanych kresek. Te według klucza uporządkować, znaczy umieścić obok siebie te, które w częściach swoich kresek czyli sztrychów, są sobie spólne, bez żadnego względu na znaczenie.

Ten jest charakter Chińskiego pisma. Gdyby Chińczykowie byli głucho-niemymi, mogliby sobie zapomocą tego pisma wszystko powiedzieć, nie mając najmniejszego wyobrażenia o tém, co my słowem zowiemy.

Język Chińczyków mówiony, który to przez brzmienie, co pismo przez kreślenie oznacza, nie ma z mową piśmienną żadnego związku. Wiele ludów Azyi, mających bardzo rozmaite języki, używają spólnie pisma Chińskiego, tak jak ludy Europejskie liczb arabskich, mimo różnicy ich języków.

Język Chiński składa się z 300 pojedynczych zgłosek, które przez rozmaite intonacye 1,200 słów dają, i te stanowią cały słownik języka mówionego. Natomiast mowa pisana jest niezmiernie bogata. Niektóre lexykony zawierają sto tysięcy charakterów, czyli znaków słów, ale ta zastraszająca ilość jest zbyteczną; jest bowiem między niemi mnóstwo synonimów i zastarzałych, nie używanych wyrazów, a znajomość kilku tysięcy znaków, dostateczną jest do zrozumienia wszelkich pism Chińskich. Zrazu liczba tych charakterów wynosiła tylko 200, i to są pierwiastki pisma Chińskiego. Remusat rozpoznawał te pierwotne znaki w najdawniejszéj ich formie, i poczynił ztąd wnioski o pierwotnym stanie Chińczyków, na które nie łatwo by go naprowadził wszelki inny starożytności zabytek, ponieważ te pierwotne obrazy, musiały być niejako dokładnym spisem pojęć i wiadomości tych, którzy je ułożyli. Mała liczba znaków 200 nie przechodząca, jest już dowodem ograniczonéj liczby ich pojęć i potrzeb, a zatém stosowna do małéj cywilizacyi w czasach, gdy były wynalezione. O niebie mają tylko 7 znaków, mało zatém mieli zapewne wiadomości astronomicznych. W tym spisie obrazów, nie widać żadnéj oderwanéj idei o Bogu, ale jest wyobrażenie ofiary i głowa Złego Ducha. Między temi pierwotnemi znakami, nie widać żadnéj wieży, ogrodu, miasta, twierdzy, uczonych, wodzów, żołnierzy, ale widać człowieka czy-

niącego pokłon i czarodzieja, a zatém znaki grzeczności i bojaźliwych zabobonów.

Odzież jest bardzo prosta, czapki i opaski jak u murzynów. Nie widać żadnych muzycznych instrumentów, żadnych monet, a co najwięcéj, żadnych metalów. Na broń jest znaków 9-10, ale nic nie wskazuje metalu; nawet w teraźniejszém piśmie, siekierę oznacza kamień. Co do zwierząt: oznaczone są z domowych: pies, koń, owca, świnia i wół, owe pierwsze sługi i ofiary człowieka; z dzikich zwierząt jest lampart, jeleń, szczur, łoś, nosorożec i dwa rodzaje zająców. Rozróżnienie tych dwóch gatunków, zdaje się oznaczać oko wprawne i lud polujący. Z resztą nie widać żadnych fantastycznych zwierząt późniejszéj tradycyi Chińczyków. Z roślin, nie widać pszenicy, ani jęczmienia, ale ryż, szczowicę i małą ilość roślin warzywnych, co słabych początków rolnictwa dowodzi.

Że jednak Chińczycy w tak nizkim stanie kultury, pismo wynaleźli, to godne zastanowienia, zwłaszcza, iż nastało przed spojeniem się ludu w jedną społeczność; wpływ tak wcześnie wynalezionego obrazowania myśli, przez znaki, musiał być bardzo ważnym na język mówiony, on zapewne ustalił jego ubóstwo i jedno-sylabność, bo system pisania przez obrazy bez względu na język, nie postępuje z tymże, i jest mu przeszkodą. Z tak wczesnego wynalazku kreślenia myśli obrazami, który się i na późniéj utrzymał, pochodzi jedno-sylabność słów i brak formacyi mówionego języka.

Chińczykowie mają mnóstwo słowników, ale żadnéj grammatyki swego języka, czego łatwo się z natury onego domyślić. Jednę część swoich reguł poznają ucząc się mówić, a drugą, ucząc się pisać.

KRASICKI.

Właśnie sto lat upływa od urodzenia Krasickiego, który w wieku zeszłym był najpopularniejszym pisarzem polskim, a wychodzące ciągle edycye dzieł jego, dowodzą, iż nim być dotąd nie przestał.

Ignacy Krasicki urodzony z starożytnego domu w Galicyi r. 1734, obok łask fortuny i wszelkich darów przyrodzenia, najstaranniejsze odebrał wychowanie. Przeszedłszy niższe stopnie w stanie duchownym, wkrótce otrzymał biskupstwo Warmińskie, i przez cały ciąg piastowania téj dostojności, poświęcał się pracom uczonym. Na dziełach nigdy nie kładł swojego nazwiska, ale całéj powszechności znany był X. B. W. czyli X. biskup Warmiński. W r. 1795 mianowanym był arcybiskupem Gnieźnieńskim, r. 1801 umarł w Berlinie, gdzie znaczną część życia przepędził, doznając względów Fryderyka IIgo i gdzie zaznajomił się z znakomitemi uczonemi w Niemczech, mianowicie z Herderem, który talent i dążenie pism jego wysoko cenił.

Młody Krasicki trafił na czasy, gdzie w literaturze sama nadętość, pedanterya i makaronizmy, a w obyczajach zbytki, gnuśność i nieład we wszystkiém panowały. Jego łatwości, pogodnego dowcipu potrzeba było, ażeby te wady rozprószył, i żeby smak i obyczaje na zbawienniejszą drogę skierował. Pisma jego zdają się być tylko źwierciadłem swojego wieku, a przecież tak są oryginalne, że od wszystkich innych się różnił i nikt go naśladować nie zdołał.

Wychodziło pod ówczas pismo peryodyczne Monitor, na wzór Spektatora Angielskiego, obyczaje tylko za cel mające, do którego młody Krasicki pilnie się przykładał, i w niém zapewne znalazł cel, któremu ciągle już potém zdolności swoje poświęcił. Znano już potrzebę obudzenia się z umysłowego letargu, ale baczniejsi obawiali się, aby otrząsnąwszy się z wad swoich, nie zapragnęli dążyć na oślep za lekkością ówczesną Francuzów, która całą niemal Europę zmaniła. Widzieli, że religijność, z któréj moda dozwalała się wyzuwać filozofom XVIIIgo wieku, jest duszą ludów, szczególniéj też dążących do poprawy w swych obyczajach; widzieli oraz jak powabne, a gnuśnym i lekkim umysłom dostępne były owéj filozofii mniemania, że te nakoniec były modą powszechną, która nie myślących samowładną jest panią i przewodniczką.

Trzeba więc było pisarza, któryby łatwym i powabnym, w ogólności francuzkim dowcipem, zbawienne zasady i smak mógł utwierdzać i upowszechniać, i stać się niejako w swoim sposobie *modnym*. Takim był X. B. Warmiński. Bajek jego uczyły się dzieci, młodzi starym, a starzy młodym przytaczali jego Satyry, gdy jedni w drugich złe dawne nałogi lub szkodliwą postrzegali modę; rodzice czytali *Doświadczyńskiego*, a każdy w najdalszym zakątku ziemianin, wartował *Podstolego* i uczył się jak być rządnym, dobrym sąsiadem i obywatelem. Żaden nadzwykły wzniosły geniusz poetyczny, ani głęboki filozof, nie byłby tego skutku osięgnął co Krasicki, który z taką trafnością do miejsca i czasu stosować się umiał. Duchem pism jego jest: że naród jak drzewo pod słońcem religii, z swojego pnia według pory jaką czas niesie, organicznie rozwijać powinien, iż jedynie to, co w jego życiu jest już przekwitłém i szkodliwém oddalać winien od siebie, a to tylko przyjmować, co do dalszego moralnego kwitnienia potrzebne.

Pierwszém dziełem Krasickiego we Lwowie wydaném było, poema Myszeis, wzięte z czasów bajecznych Popiela, które nie jest jak mniemano allegoryą, ale pełne alluzyj do czasów ówczesnych wystawujących dawną niesforność, gadatliwość i lenistwo.

Pierwsza część Bajek w smaku Fedra źwięźle pisanych, najwięcéj ze wszystkich pism jego była upowszechnioną. Wiele z nich zdadzą się teraz być obojętnémi, bo powód i właściwa



(Krasicki.)

myśl onych, już są niezrozumiałe. Krasicki zamieszczał najwięcéj Bajki swoje stosownie do okoliczności w prywatnych listach i tak się najprzód upowszechniały.

Ze wszystkich dzieł jego poetycznych na pierwsze miejsce zasługują Satyry. Szczególném ich znamieniem jest to, że są pisane bez żadnéj żółci, że je dyktowała miłość ku ludziom, ale nie przyrodzone obojętne szyderstwo, albo nienawiść. Wszędzie on uważa człowieka pełnego dobrych zarodów, ale które źle są skierowane, źle otoczone. Z tego pragnie go oczyścić i lekko ociosać, baczny zawsze, aby żadnéj dobréj cząstki nie skaził i nie naruszył. Satyry jego są źwierciadłem w którém się każdy bez publicznego zawstydzenia sam przejrzy i obaczy szpetne swe plamy i przykrasy, których łatwo się pozbyć i do piękněj przyrodzonéj postaci powrócić może.

Po satyrach najciekawsze są jego Listy, w których jedynie sam się z swoim charakterem wywnętrza, a które są kluczem do wszystkich pism jego.

Henryada Woltera, poema najmniéj poetyczne, fałszywie natchnęła go w *Wojnie Chocimskiéj*. Każdy woli czytać Samuela Twardowskiego, który bez Boila w ręku, wiernie malował co widział, chociaż w stylu nadętym bez tak zwanéj machiny poetycznéj.

Pięknie jest, iż wszędzie wesoła Muza Krasickiego, z taką rzewnością oddać umiała smętne pienia Ossyana. Niedoścignęli go w tém wszyscy tłumacze nasi barda Kaledonii. Ten przekład w późnéj starości w Berlinie pisany, dopiéro po śmierci jego był ogłoszony.

Poezye Krasickiego już może tracą na wartości u tych, którzy nie chcą odnosić się do ducha wieku, jaki je wydał. Przytém Krasicki miał tylko jednę stronę poetyczną: pogodę, łatwość i szczęśliwy pędzel malarski, który sobie tylko zatrzymał. Bajki, Satyry, Epitry i poemata heroi-komiczne, wyszły już z mody, ale pozostanie duch zawsze ówczesny jaki w nim wszędzie odbija.

Proza Krasickiego ma zalety, które nie łatwo z mody wyjdą, lub przewyższone zostaną. Doświadczyński jest pierwszy jego romans, a raczéj powieść obyczajowa. Najskuteczniéj maluje w niéj głowne wady ówczesne: wychowanie, lekkomyślne zbytki i pieniactwo. Panicz wychowany przez awanturnika Francuza, dorwawszy się rządów, puszcza połowę dóbr w ręce usłużnych oszustów, pędzi dworno do Paryża, kupuje w Drzewicy pasamony, aby miał czém ustroić lokajów w Paryżu; utrzymuje dziennik podróży i zapisuje jako rzecz najważniejszą, że widział bardzo wysoką wieżę ś. Szczepana w Wiedniu; w Paryżu żyje szumno w ręku oszustów, dla honoru płaci za nich długi, lituje się wspaniale nad niemi, a w końcu z potrzeby, sam mimo najlepszych skłonności szulerem zostaje. Wraca ze straconém zdrowiem do straconéj fortunki. Jest to, z małemi odmianami, historya wszystkiéj ówczesnéj młodzieży.

Po tylu satyrycznych pismach, chciał Krasicki wystawić to, co w przymiotach ziomków dobrego widział, i oddał w Podstolim ideał obywatela. To pismo dla obcych najmniéj powabne, zostanie na zawsze ulubioną krajową idyllą. Jak we wszystkich pismach swoich, tak i tu ograniczył się Krasicki do malowania samych cnót rodzinnych i życia domowego, w tém przekonaniu, że tu jest źródło wszelkich cnót innych. Ujmującą jest ciągła walka Podstolego między zachowaniem tego, co dawne czasy dobrego przyniosły, i przyjęciem obyczajów nowych; jak zwalczając dawne przesądy, chroni się nowych. Nie zdaje się w niczém różnić od ziomków, jednak dla wszystkich jest wzorem. Wesoły i pełen zdrowego rozsądku, gościnny i rządny, szczery i skromny, pobożny i pobłażający, przywiązany do życia ziemiańskiego, nie obojętny na postęp dobrego w ogólności, nęci do siebie czytelnika, tak jak autora, który z domu jego długo oddalić się nie mógł.

WYDAWCY: Bossange père, Jan Glücksberg, Józef Kaczanowski, August Emanuel Glücksberg.
w Warszawie, w Drukarni przy Ulicy Rymarskiéj N. 744.